CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 131 9 LISTOPADA 1978 R. CENA 1.50 ZŁ

UWAGA UCZESTNICY KONKURSU!

JUŻ za kilka dni dowiecie się, które z prac nadesłanych na konkurs dla miłośników zabytków, ogłoszony w tym roku pod hasłem ,,Dobry opiekun potrzebny od zaraz'' zostały nagrodzone i wyróżnione przez konkursowe jury. Listę tegorocznych laureatów podamy 14.XI, we wtorkowym numerze ,,Świata Młodych''.

JESIENNA PRZERWA

Jak co roku młodzież I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Lublinie wzięła udział w jesiennych pracach społecznych. Uczniowie zrywali jabłka i zbierali warzywa na terenie Państwowego Kombinatu Ogrodniczego w Leonowie. Kilka klas wykonywało prace ziemne na terenie Lubelskiego Zagłębia Węglowego w Łęcznej kopiąc wykopy pod linie elektryczne. Ponieważ pogoda nie sprzyjała zbytnim wyjazdom w teren, wielu uczniów pracowało w szkole. Uporządkowano teren wokół budynku, usypano nową bieżnię i zabezpieczono sprzęt sportowy przed zimą. Ponadto każda z klas robiła porządki na terenie własnej klasy. **(d)**

Fot. **Jerzy Dzikowski**

KRAKÓW (inf. wł.). Na początku października w Krakowie odbyło się podsumowanie, trwającego przez cały rok, konkursu pod hasłem ,,Harcerze Współgospodarzami Osiedla''. Już po raz czwarty czołowe miejsce zajął Szczep Harcerski im. B. Głowackiego ze Szkoły Podstawowej nr 115 w Nowej Hucie. Działa on w tzw. szkole środowiskowej. Dwa razy

ZWYCIĘŻYLI PO RAZ CZWARTY

w miesiącu mieszkańcy Osiedla Jagiellońskiego uczestniczą w zbiórkach harcerskich i we wszystkich zajęciach popołudniowych młodzieży. Natomiast dziewczęta i chłopcy nie należący do organizacji wspólnie z harcerzami biorą udział w zawodach sportowych, konkursach, biwakach organizowanych przez poszczególne drużyny. W ramach konkursu harcerze urządzili sobie harcówkę, uporządkowali ogródek jordanowski oraz porządkują trawniki, skwery w swoim osiedlu. Wspólnie z zaprzyjaźnioną Spółdzielnią Mieszkaniową organizują Dni Osiedla. Wszyscy mieszkańcy spotykają się wówczas na placu szkolnym, gdzie odbywa się szereg ciekawych imprez rozrywkowych oraz tradycyjne już harcerskie ognisko. Dni Osiedla cieszą się symaptią wszystkich mieszkańców Nowej Huty. **(dz)**

KONKURS FOTOGRAFICZNY NASZEGO KĄCIKA ROZSTRZYGNIĘTY!

Fotografia przyrodnicza

Zdjęcia przez Was nadesłane są podsumowaniem pewnego okresu naszej wspólnej działalności. Jako odpowiedź na Fotograficzny Konkurs Wakacyjny przysłało swe prace kilkudziesięciu autorów. Przeważały zdjęcia czarno-białe, choć kilka osób przysłało także barwne przeźrocza. Konkurencja była duża. Na prezentację zasługuje dużo więcej zdjęć niż byliśmy w stanie opublikować, przyjęliśmy zasadę wybrania najlepszych naszym zdaniem autorów, bez względu na ilość przysłanych przez nich fotogramów, z których na str. 6 publikujemy po jednym, charakterystycznym.

Fot. **Jacek Błaszczyk**

250 mln lat temu w Wielkopolsce istniały pustynne obszary

POZNAŃ (PAP). Podczas wierceń na terenie Pomorza Zachodniego i Wielkopolski znaleziono pozostałości rozległej pustyni. Zdaniem geologów pustynia ta istniała w środkowej Europie w okresie tzw. dolnego permu. Odkryte tam charakterystyczne osady świadczą, że na pustyni występowały niewielkie zbiorniki wodne. Były to prawdopodobnie okresowe rozlewiska i płytkie jeziora tworzące się zazwyczaj po większych deszczach. Znaleziono też ślady okresowych rzek, które pojawiały się w porze deszczowej, a znikały w okresach suchych. **(kż)**

Na politycznej scenie

SPÓR O BEZLUDNE WYSPY

Tam, gdzie południowoamerykański kontynent zwęża się w pobliżu Przylądka Horn istnieje zapalny punkt między rządami Argentyny i Chile. Oba kraje wiodą niekończący się spór o kilka wysepek, nad którymi nieustannie szaleje zimny wiatr. Zatarg jest na tyle poważny, że może doprowadzić do konfliktu zbrojnego. Dowództwo armii argentyńskiej powołało ostatnio do czynnej służby rezerwowych oficerów różnych specjalności. Wielu innych rezerwistów poinformowano, gdzie mają się natychmiast stawić w przypadku wojny. Jednocześnie władze w Buenos Aires przyspieszyły tempo dostaw nowego sprzętu wojskowego dla armii oraz stworzono specjalną rezerwę paliw płynnych. Przedstawicielom kół przemysłowych wręczono listy surowców i urządzeń, które będą zarekwirowane przez władze w przypadku wojny. Posunięcia władz argentyńskich są odpowiedzią na podobne przygotowania ze strony junty chilijskiej i nasilającej się propagandy wymierzonej przeciwko Argentynie.

Spór jest więc poważny, a chodzi w nim o dwie sprawy główne. Po pierwsze: wysepki te, mimo iż są bezludne, to w ich rejonie najprawdopodobniej znajdują się bogate złoża ropy naftowej. Potwierdzają to wstępne badania sejsmiczne, jak również fakt eksploatowania już teraz (przez obydwa kraje) złóż ropy i gazu ziemnego na Ziemi Ognistej oraz na północ i zachód od Cieśniny Magellana. Po drugie: wyspy leżą w ważnym rejonie strategicznym, zwanym Młot, a więc na wschód od Przylądka Horn i na południe od Kanału Beagle, znajdującego się z kolei między Cieśniną Magellana na północy i Cieśnicą Drake'a na południu. W czyim ręku będą te wyspy ten będzie kontrolował ważne szlaki morskie. Ich znaczenie zwiększy się jeszcze bardziej, gdyby cokolwiek stało się w strefie Kanału Panamskiego.

Spór argentyńsko-chilijski jest groźny również i z tego względu, że w razie wojny konflikt może rozszerzyć się na inne kraje Ameryki Łacińskiej. Przede wszystkim do wojny przeciw Chile mogą włączyć się Boliwia i Peru. Pierwszy z tych krajów pragnąłby odzyskać dostęp do Oceanu Spokojnego, który utracił przed 100 laty. Również Peru ma pretensje do dwóch prowincji zagarniętych przez Chile w wojnie 1879 roku. Miejmy jednak nadzieję, że do konfliktu nie dojdzie. Na razie trwają pertraktacje, które mogą przecież przynieść rozwiązanie polubowne. (b)

Nie tylko dla palących!

JESTEŚMY Z WAMI I PRZECIWKO WAM

Robić to co się chce – oto najgorętsze pragnienie nastolatków, ludzi, którzy już nie są dziećmi, a jeszcze nie stali się dorosłymi. W tym wieku chodzimy do szkoły, jesteśmy pod opieką rodziców, ale mamy już własne problemy. I to problemy nie tylko nieodwzajemnionej miłości, wcześniejszych czy późniejszych powrotów do domu, wreszcie udanego czy nie dnia w szkole, ale również problemy „wejścia w społeczeństwo". Wejścia w świat ludzi dorosłych, ze wszystkimi jego prawami i obowiązkami.

Człowiek w tym przejściowym wieku, o czym wie doskonale każdy z czytających te słowa, zaczyna mieć dość rygorów domowych, zależności, szkolnego systemu nakazów i zakazów, obowiązków, które w miarę upływu lat i awansowania do coraz wyższych klas, pozostają prawie niezmienne. Wtedy to właśnie choć nadal kochamy rodziców, potrzebujemy ich opieki i czułości, zaczynamy kwestionować ich autorytet. Ten bliski kontakt z nimi gdy byliśmy dziećmi, zaczyna się rozluźniać, zaczynamy szukać autorytetów gdzie indziej. Podobnie układają się nasze stosunki ze szkołą. Jeśli nie mamy tego szczęścia i nie trafimy na światłych, mądrych wychowawców, jeśli nasza szkoła oparta jest wyłącznie na zasadzie władzy i kontroli, tracimy do niej sympatię choć oczywiście rozumiemy, że uczyć się trzeba.

Przyznaję, że my – dorośli zbyt rzadko uświadamiamy sobie zarówno w domu jak i w szkole, że mnożenie liczby zakazów i nakazów prowadzi jedynie do ich omijania a nie respektowania. Że zbyt rzadko znajdujemy czas i chęć do znalezienia wspólnego języka z naszymi dziećmi, że natomiast zbyt często wymuszenie posłuszeństwa zastępuje perswazję czy rzeczową argumentację.

Mając lat... naście pragniemy samodzielności ale i boimy się jej. Stajemy się bardziej zamknięci w stosunku do dorosłych, a rozumiemy się najlepiej z rówieśnikami. Znajdujemy przyjaźnie w grupach, w których łączą nas wspólne zainteresowania, problemy, podobny stosunek do otaczającego nas świata. W takiej grupie czujemy się bezpieczni, pewniejsi – jest to jakby zajęcie miejsca w przedziale pociągu, który ma nas dowieźć szybciej i wygodniej do stacji – dorosłość. Oczywiście, jak wszyscy pasażerowie, pragniemy by pociąg jechał jak najszybciej. I podejmujemy działania w tym kierunku. Działania różne: mądre i głupie, o czym sami zresztą wiemy i doskonale potrafimy je odróżnić. Ale wiedza, uświadomienie sobie niewłaściwości postępowania, nie oznacza wcale prawidłowego wyboru. Jednym z takich „głupich" działań, jest dość, niestety, rozpowszechnione mniemanie, że wystarczy zapalić papierosa, aby awans na dorosłego mieć w kieszeni. A w kieszeni to my wtedy mamy pokruszone kawałki tytoniu, które na wszelki wypadek przed powrotem do domu, wyrzucamy.

Zajmijmy się bliżej tym nieszczęsnym paleniem. Trafił mi do rąk opublikowany niedawno artykuł, przedstawiający wyniki ankiety przeprowadzonej w liceum ogólnokształcącym w Charente we Francji. Wykazała ona, że 47 proc. dziewcząt pali gdyż pragnie naśladować swą matkę, a 77 proc. chłopców chce się w ten sposób upodobnić do ojców. Czy wobec tego całą winą trzeba obarczyć rodziców? Oczywiście, nie. I tak np. dobrze wiemy – nie tylko z zagranicznych filmów – że prawdziwy mężczyzna, bohater co się zowie, musowo jest palący. Taki Kojak może nie przerywając palenia załatwić każdego bandziora. A bohaterki filmów, wcielenia marzeń dziewcząt? Jak się tylko zdenerwują – albo ogarnie je bardzo ogromne uczucie, to natychmiast sięgają po papierosa.

Tak więc my dorośli jesteśmy z wami młodymi palącymi papierosy, bo robimy to samo i dajemy wam przykład. Ale też jesteśmy przeciwko wam, bo chcielibyśmy ustrzec was przed tym nałogiem. Tak więc często zdenerwowany tata, który właśnie dowiedział się, że jego syn pali, udzielając mu w różnej formie nagany, z tych nerwów natychmiast zapala papierosa. I nie ma w tym nic dziwnego. Tata jest, jak to się ładnie mówi, „w szponach nałogu". Czy próbował z tych szpon się wyrwać? Oczywiście i to nie raz. 80 proc. nałogowych palaczy, „rzucało" kiedyś palenie. Ale czy jeśli on, ona, w ogóle dorośli, nie mogą zerwać z tym nałogiem, to czy znaczy, że pozbawiają się prawa uchronienia przed nim swych dzieci? Odpowiedzcie sobie na to pytanie.

Na całym świecie nasila się antynikotynowa kampania. Czy zauważyliście np., że w Polsce nie reklamuje się papierosów, że istnieje rządowy zakaz palenia na zebraniach, naradach itp., że coraz więcej jest zakazów palenia i to nie z powodu ochrony przeciwpożarowej tylko zdrowia. Trzeba jednak stwierdzić, że nie są to działania wystarczające. Szczególnie w przypadku młodzieży, sam zakaz palenia w szkołach nie wystarczy. Jak on jest realizowany, wiecie zresztą sami najlepiej.

Co mówi nauka o paleniu? Krótko: jeżeli osoby niepalące mają 52 proc. szans na dożycie 75 lat, to ci, którzy zaczęli palić w wieku 25–35 lat, mają już tylko 39 proc. szans, natomiast ci, którzy zaczęli palić w wieku 15, jedynie 24 proc. Każdy nastolatek palący powie teraz: „Dobra, dobra, co się będę martwił tym, co może się zdarzyć za kilkadziesiąt lat". Jest bowiem niestety tak: każdy palacz jest przekonany głęboko, że jego osobiście te ponure statystyki nie dotyczą. I natychmiast daje przykład niepalącego znajomego, który właśnie umarł.

My spójrzmy jednak na listę grzechów papierosa:

- powoduje nieświeży oddech
- sprzyja powstawaniu zmarszczek i powoduje niezdrową cerę
- osłabia pamięć i zdolność koncentracji myślenia
- powoduje chroniczny bronchit i zaburzenia oddechu już w wieku 13–14 lat, jeśli zaczęło się palić kilka lat wcześniej
- 95 proc. przypadków zachorowań na raka płuc, wynika z palenia papierosów
- powoduje mniejszą odporność na zimno, ponieważ nikotyna wpływa skurczowo na tkanki
- jest przyczyną stanów zapalnych krtani, wywołuje bóle głowy, pogorszenie wzroku, zaburzenia żołądkowe
- dzieci zagorzałych palaczy dwukrotnie częściej operowane się na migdały i dwukrotnie częściej mają kłopoty z układem trawiennym itd. itd..

A jednak ludzie palą – dorośli i młodzież. Dlaczego młodzi? Bo chcą być uważani za dorosłych – to już wiemy. Jakie są inne powody? Przekora – co zakazane lepiej smakuje. Z chęci zaimponowania dziewczynie (patrz zdjęcie na stronie tytułowej). Bo ten kto nie pali, kto boi się o swe zdrowie, lub słucha zakazów rodziców czy nauczycieli, uważany jest przez niektórych kolegów za tchórza. Ale przecież i bywa tak, że ten kto odmawia palenia, nie poddaje się presji swej grupy, jest właśnie tym odważnym. Przecież ten, który nie pali wzbrania sobie rzeczy uznanej za przyjemną, wykazuje charakter i odwagę. Może to on pogardza palącymi? Jak to więc jest z tym paleniem? Kto odważny, a kto tchórz? Chcemy poznać Wasze – Czytelnicy – zdanie w tej sprawie i nie tylko w tej... Oczekujemy Waszych odpowiedzi, na przedstawione niżej pięć pytań. Na kopercie zaadresowanej do redakcji „Świata Młodych" napiszcie hasło: **„NIE TYLKO DLA PALĄCYCH"**. Oto pytania dla Ciebie Czytelniku:

W jakich okolicznościach zapaliłeś pierwszego papierosa? Ile miałeś wtedy lat?

Jeśli nie poprzestałeś na tym pierwszym, ile palisz dziennie papierosów teraz i od jak dawna?

Czy Twoi rodzice palą papierosy? Ojciec, matka, obydwoje? Czy wiedzą, że Ty palisz?

Może zastanawiałeś się nad tym, jakie są przyczyny sięgania po papierosa przez twoich rówieśników? Podziel się z nami swoimi przemyśleniami w tej sprawie.

Co, Twoim zdaniem, trzeba zrobić aby ograniczyć wzrost liczby nałogowych palaczy wśród młodzieży?

JERZY KOWALKOWSKI
Fot. K. Adamowski

Testament inżyniera Nobla

Dawno już minęły czasy szwedzkich podbojów, odeszli w przeszłość bitni Wikingowie i do podręczników historii przeszły czasy „Potopu". Szwecja stała się krajem pokojowym, szukającym sukcesów w rozwoju kraju, w pracowitości swych obywateli, nie na polu bitwy. I właśnie wtedy, gdy wiek XIX przekroczył już półmetek, coraz większy rozgłos w świecie zaczął zdobywać inżynier-chemik Alfred Nobel. Dziwna to i paradoksalna sprawa, że wśród obywateli kraju, który zdecydowanie odżegnywał się od – jak to się dziś mówi – użycia siły znalazł się człowiek obdarzony talentem wynalazczym skierowanym w jednym, jedynym kierunku: wynajdywania materiałów, które burzą i zabijają. Inżynier Nobel obdarzył ludzkość takimi wynalazkami jak m.in. proch bezdymny, spłonka (detonator) i dynamit. Ten ostatni zwłaszcza dał mu sławę i pieniądze. Był to materiał wybuchowy o nieznanej dotychczas sile działania, a jednocześnie dość bezpieczny w przechowywaniu. Później udoskonalano go wielokrotnie, ale pierwszy był Nobel! Oczywiście dynamit nie służy tylko niszczeniu – wojnie, jest również pożyteczny w czasie pokoju. Stosuje się go w górnictwie, kamieniołomach, przy budowie tuneli itp. Wszystko więc zależy od ludzi, od tego, do jakich celów go użyją.

Inż. Nobel pewnego dnia zdał sobie sprawę z tego, jaki straszny spadek pozostawia ludzkości i dokonał ostatniego wynalazku w swym życiu. Cały swój majątek, a był u schyłku życia bardzo bogatym człowiekiem – 31,6 mln koron szwedzkich przeznaczył na stworzenie funduszu, z którego dochody „mają być corocznie dzielone w formie pięciu nagród pomiędzy tych, którzy przysporzyli ludzkości korzyści" swoimi osiągnięciami w zakresie: fizyki, chemii, fizjologii lub medycyny, literatury oraz na polu zbliżenia między narodami, rozbrojenia i krzewienia idei pokojowej. Fundacja Nobla ma siedzibę w Sztokholmie. Co roku dochody z majątku Nobla dzieli się na pięć równej wielkości międzynarodowe nagrody. Przyznają je: z fizyki i chemii – Królewska Szwedzka Akademia Nauk, fizjologii lub medycyny – szwedzki Królewski Karoliński Instytut Medyczno-Chirurgiczny, literatury – Akademia Szwedzka; za działalność na rzecz pokoju – Komitet Nobla norweskiego parlamentu. Nagrody przyznawane są jednej osobie lub paru i w takim przypadku są dzielone; nagrody pokojowe przyznawane są także organizacjom i instytucjom. Wręczane są zawsze tego samego dnia roku – 10 grudnia, w rocznicę śmierci fundatora. Wysokość nagród uzależniona jest od dochodów z F.N. w danym roku, najczęściej jest to sporo ponad 200 tysięcy koron szwedzkich każda.

Najwięcej kontrowersji budzi zawsze w opinii światowej, przyznawanie nagród w dziedzinach takich jak literatura i działalność pokojowa. Zwłaszcza nagroda pokojowa była wielokrotnie gorąco dyskutowana. Podobnie jest z przyznaną w dniu 27 października br. nagrodą pokojową przyznaną prezydentowi Egiptu Anwarowi Sadatowi i premierowi Izraela Menachemowi Beginowi. Decyzja ta została przyjęta przez opinię światową raczej negatywnie. Wbrew oficjalnemu uzasadnieniu nagrody mówiącemu o wkładzie polityków w „dzieło pokoju na Bliskim Wschodzie" prasa światowa podkreśla, że poczynania te nie przyniosły ani pokoju, ani nawet szans na globalne uregulowanie konfliktu arabsko-izraelskiego. Londyński „Times" pisze, że „dzieląc nagrodę między Sadata i Begina komitet niewątpliwie obniżył rangę tego zaszczytu." O swoisty komentarz do tej decyzji postarał się premier Izraela Begin, który na dwa dni przed oficjalnym komunikatem o przyznaniu mu nagrody, zaproponował, aby siedziby premiera i ministra spraw zagranicznych przenieść do wschodniej części Jerozolimy okupowanej przez Izrael od 1967 r., co nie jest uznane przez żaden kraj na świecie. Można przypuszczać, że nie takiej realizacji swego testamentu spodziewał się inżynier Nobel.

JERZY ZYGFRYD

WIEM, ŻE TĘSKNI ZA NAMI...

Wszystkie książki, zeszyty, teczkę i przybory do pisania mam nowe. Kolegów też. Starych nawet nie wspominam, nie mam na to czasu. Od samego początku wziąłem się poważnie do roboty. A jest jej dużo.

U cioci warunki do nauki mam dobre. Obydwoje z wujkiem pracują na zmiany, więc często wieczorami jestem sam. Ale nawet wtedy, kiedy są w domu, zamykają drzwi od pokoju i siedząc w kuchni zupełnie nie słyszę telewizora. Okazuje się, że mieszkania w nowych blokach wcale nie są takie akustyczne. A przy tym bez porównania ładniejsze niż u nas w miasteczku.

W ogóle, jak wspomnę nasze miasteczko, to aż wierzyć mi się nie chce, że jest takie maleńkie i takie nieciekawe. Może nawet i brzydkie. Oczywiście, wszyscy się tam dobrze znają i bardzo się sobą nawzajem interesują. Wystarczy, żeby ktoś kichnął, a już wszyscy o tym wiedzą. Mnie to akurat nie przeszkadzało. Urodziłem się tam i byłem do tego przyzwyczajony. Denerwowało to natomiast bardzo moich rodziców. Stale powtarzali, że straszna wokół kołtuneria.

Rodzicom na pewno wiele zawdzięczam. Na przykład tak zwane obycie towarzyskie. Pani pewnie się dziwi, że jestem taki wygadany, chociaż dopiero niedawno przyjechałem z prowincji. To właśnie dzięki nim.

W naszym domu bywali – jak lubiła mawiać moja mama – tylko ludzie na poziomie, liczący się w miasteczku. Rozmawiali o ciekawych sprawach, a ja nie tylko słuchałem ich rozmów, ale od dzieciństwa brałem w nich udział. Pozwalano mi na to, a nawet mnie do tego zachęcano. Rodzice uważali, że jestem wyjątkowy, wybitnie inteligenty i wobec tego więcej mi wolno niż innym dzieciom. Ich przyjaciele, chcąc widocznie w dalszym ciągu nimi pozostać, uważali – a przynajmniej mówili, że uważają tak samo. Musiałem nie tylko zgadzać się na chwalenie się mną, musiałem też popisywać się na zawołanie.

Czym? Jak byłem mały, to wierszykami, potem graniem na pianinie, potem jeszcze dowcipnymi odpowiedziami na równie dowcipne pytania lub uwagi. No i przede wszystkim stopniami. Jeżeli zdarzyła mi się czwórka, mama rozpaczała i starała się ukryć tę hańbę przed światem. O trójce nawet mowy być nie mogło. Chociaż pamiętam, że ojcu raz zdarzyło się wspomnieć, iż trójka to też stopień, i to nawet państwowy. Lepiej nie mówić, co się wtedy działo. Od tej pory obaj pilnowaliśmy się już, żeby nam się coś takiego nie wyrwało.

Syn zawsze dobrze się uczył. Zawsze był najlepszy w klasie. Jest bardzo ambitny i uważa, że inne stopnie niż piątki to nie dla niego. Mam nadzieję, że go w tej Warszawie nie zepsują i że w dalszym ciągu będzie się tak samo starał. Trochę się martwimy, że jest tak daleko. Bardzo go nam brak. Ale tutaj nie było dla niego przyszłości.

Obiecuję sobie, że często będę wpadać do siostry i sprawdzać, jak tam sobie daje radę. Bo Mariuszek mieszka u mojej siostry. Nigdy bym go nie umieściła w internacie...

Właściwie to nie mogłem przyjaźnić się z tymi chłopakami, z którymi chciałem. Akurat tak się zdarzyło, że nie odpowiadali oni moim rodzicom. Albo za słabo się uczyli, albo nie wyglądali wystarczająco „porządnie". No więc prawdziwego przyjaciela nigdy nie miałem. Mam nadzieję, że dopiero teraz go sobie znajdę.

Rodzice już do dawna zastanawiali się, najpierw sami – a potem niby wspólnie ze mną, co będę robić po skończeniu ósmej klasy. W naszym miasteczku jest tylko jedno technikum więc większość naszych znajomych posyłała swoje dzieci właśnie do niego. Ja jestem podobno wyjątkowy, czyli jasna sprawa, że oddawać mnie do tego technikum rodzicom nie wypadało. Bardzo się cieszyłem, bo, po pierwsze, nie odpowiadała mi ta specjalność, a po drugie, nareszcie mogłem wyjechać z domu i gdzieś tam daleko być sobą. Gdzieś daleko – znaczyło w Warszawie, bo tam mieszka ciotka.

Wiem, że Mariuszkowi jest bardzo brak wszystkich przyjaciół, których tu zostawił. Wiem, że tęskni za nami. Ale cóż! Zdobędzie wymarzony zawód, a to jest chyba warte nawet takich wyrzeczeń. Chociaż może i tam z kimś się zżyje. Boję się tylko, żeby nie z jakimś nicponiem. Tak rzadko można dziś spotkać porządnych młodych ludzi.

Egzamin (tak, trzeba było zdawać), do technikum zdałem i zostałem przyjęty. Jestem teraz bardzo zadowolony. Może nawet szczęśliwy. Bo na razie wszystko układa się tak, jak sobie wymarzyłem. I szkoła jest fajna i koledzy też, i nawet kilka miłych dziewczyn już poznałem. Nareszcie mam też wychowawcę z prawdziwego zdarzenia. Zawsze to inaczej, gdy wychowawca jest mężczyzną.

Złapałem już dwie trójе, ale wcale z tego powodu nie rozpaczam. Nawet jestem zadowolony, bo ten nauczyciel jest bardzo wymagający i pełna trójka u niego to podobno duża rzecz. Sporo chłopaków zarobiło już z jego przedmiotu nieco gorsze oceny. A dopiero będę miał satysfakcję, jak mu udowodnię, że stać mnie na lepszy stopień!

Rodzice? Oczywiście, że ich kocham. Napisałem już do domu kilka listów, żeby się niepotrzebnie nie niepokoili. Cieszę się jednak, że są daleko. Jak przyjdą ferie, pojadę do domu z ochotą. Ale nie wcześniej! Człowiek ma chyba prawo odpocząć nawet od rodziców...

EWA KOSIŃSKA

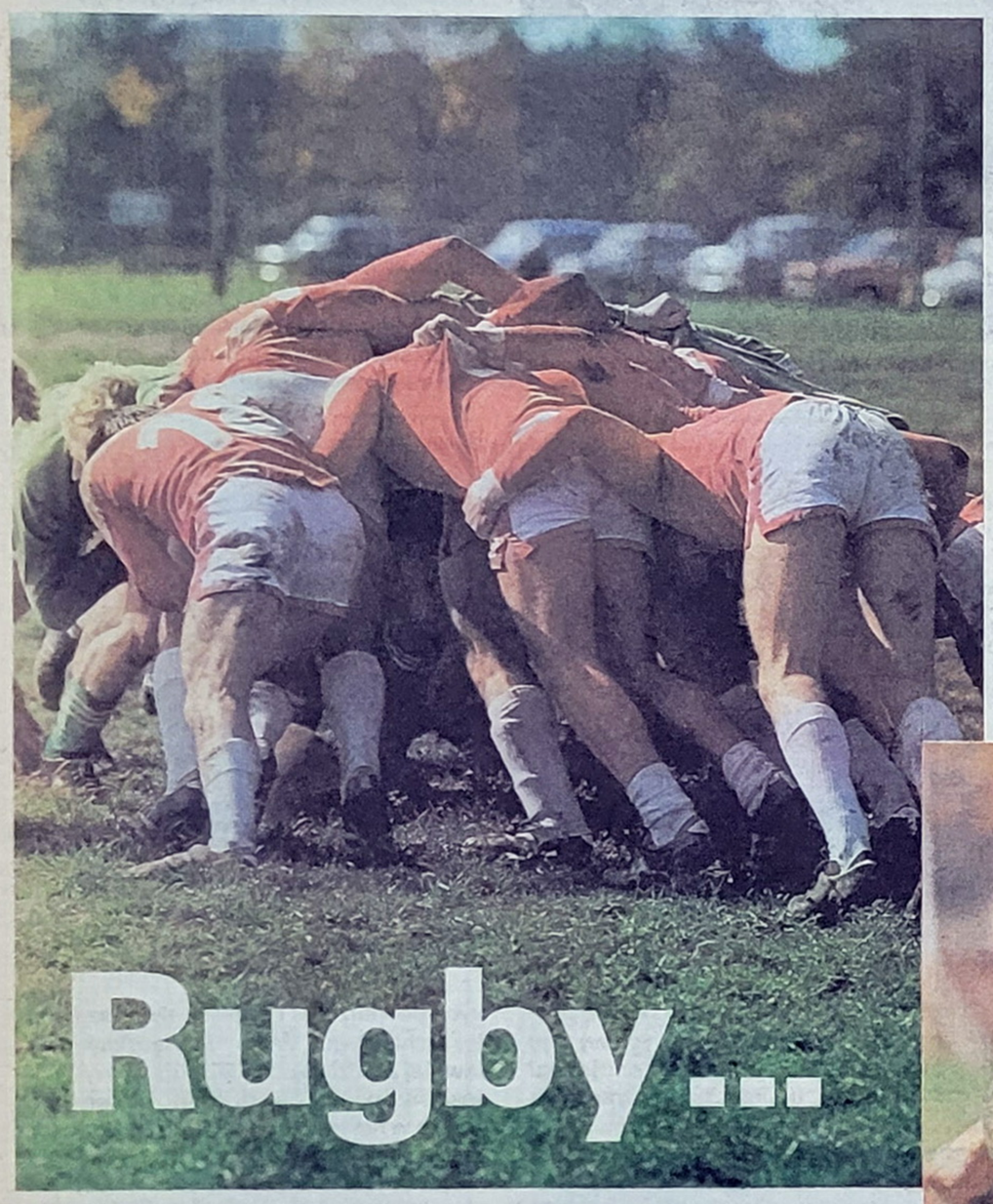

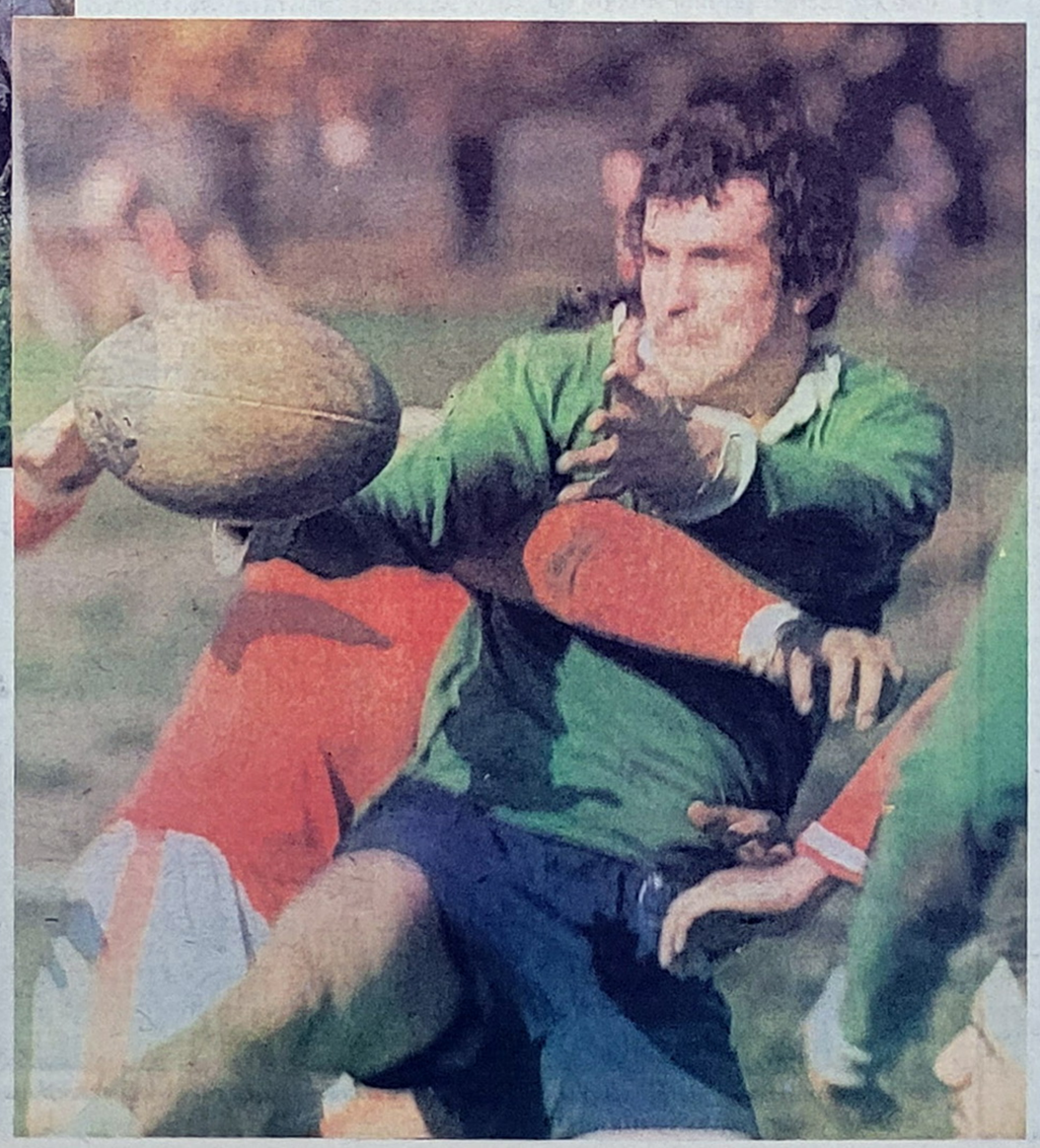

Rugby...

Historia jednej z najbardziej popularnych dyscyplin sportowych w Anglii zaczęła się niemalże anegdotycznie. W 1823 r. w Kolegium Rughby, jeden z zawodników biorących udział w rozgrywkach piłki nożnej zorientował się nagle, że mecz dobiega już końca, a wynik pozostaje nadal nierozstrzygnięty. Otrzymawszy więc piłkę, zamiast nogą skierować ją do bramki przeciwnika – chwycił ją w ręce, szalonym biegiem minął zaskoczonych tym rywali, przekroczył linię bramkową i... położył piłkę na ziemię.

Wówczas czyn ten spotkał się z krytyką, ale dziś tabliczka z imieniem tego zawodnika widnieje na murach uczelni upamiętniając w ten sposób powstanie nowej dyscypliny sportu-rugby. W naszym kraju ta dyscyplina rozwija się od 1923 r. A tak naprawdę od 1955 r., kiedy to z inicjatywy dziennikarzy, GKKF wydał specjalne zarządzenie w sprawie wprowadzenia rugby jako oficjalnej gry sportowej. Na stadiony, gdzie rozgrywane są mecze rugby, przychodzi coraz więcej kibiców. Jedni bardzo entuzjastycznie przyjmują te pojedynki, inni zaś opuszczają stadion po prostu ubawieni. Ale kto wie – może już w niedalekiej przyszłości rugby stanie się dyscypliną olimpijską.

Na zdjęciach pojedynek o wejście do I ligi między „Budowlanymi" Lublin a drużyną „Budowlanych" z Olsztyna. Zwyciężyli lubliniacy. **(dz)**

Fot. **Krzysztof Niedźwiecki**

REDAKCYJNA POCZTA

„Zrozpaczona" – głowa do góry!

Chciałabym w tym liście poruszyć sprawę „Zrozpaczonej". Pisze ona o swych niepowodzeniach z powodu tego, że w dzieciństwie uległa oparzeniu. Uważam, że gdyby tylko bardzo chciała i postarała się, nie miałaby kłopotów, o których pisze. Wiem o tym dobrze, bo od urodzenia choruję na chorobę skórną, która jest nieuleczalna (potoczna nazwa: „rybia łuska"). O tym, że jestem chora, wie każdy, z kim utrzymuję choćby przelotną znajomość, ponieważ choroba jest bardzo widoczna (ciemne plamy na całym ciele, oprócz twarzy). Mimo tego (w przeciwieństwie do „Zrozpaczonej") nie myślę o tym, mam mnóstwo przyjaciół, jestem lubiana, wesoła. Brzmi to trochę jak absurd lub przechwałki, ale to czysta prawda. Po prostu staram się zachowaniem zatuszować wygląd. Ubieram się w miarę (mam 15 lat) modnie, jestem często zapraszana na różnego rodzaju prywatki, wieczornice itp. Wiem, że jeśli ja nie będę o „tym" myślała – ludzie również nie zwrócą na to większej uwagi. Poza tym od trzech lat „chodzę" z pewnym chłopakiem. Nasza przyjaźń (jak na razie) jest trwała, rozumiemy się pod każdym względem i jest nam fajnie. Tak jak i „Zrozpaczona" bałam się szkoły średniej „jak ognia", lecz już po paru dniach okazało się, że ta grupa młodzieży również mnie zaakceptowała. Nigdy właściwie nie myślałam o tym, że moje życie mogłoby być takie jak opisuje „Zrozpaczona". Po prostu wszędzie jest fajnie i życie jest piękne!

Dorota

Ewa Łykow 10-071 Olsztyn ul. J. Korczaka 6/59 Dom Dziecka. Interesuje się sportem, muzyką nowoczesną, poezją. Szuka korespondencyjnych przyjaciół.

Czy mam go naprawić?

Pewna dziewczyna z mojej klasy od dłuższego czasu przynosiła do szkoły magnetofon kasetowy. (Oczywiście wszyscy go słuchali). Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że magnetofon zepsuł się. Dwie koleżanki zaraz zaczęły mówić, że to ja, gdyż zawsze kręciłam się obok niego. Każdy dobrze wiedział, że ostatnim razem słuchała go inna koleżanka, a ja w tym dniu prawie nie widziałam go na oczy. Właścicielka magnetofonu powiedziała, abym jej go naprawiła. (Magnetofon jest na gwarancji, więc nie byłoby może kłopotu z oddaniem go do naprawy). Nie wiem naprawdę co mam zrobić. Czy naprawić go dla świętego spokoju, czy dalej tłumaczyć, że to nie ja. I chciałabym jeszcze wiedzieć czy tego rodzaju rzeczy wolno przynosić do szkoły.

„Kropka"

OD REDAKCJI: Jeśli nie ty go zepsułaś, to nie ma powodu abyś go oddawała do reperacji. Tego rodzaju sprzętu do szkoły się nie przynosi, chyba że jest on potrzebny do przeprowadzenia lekcji. (wm)

Złoty eszelon

(2)

W marcu 1920 roku z Irkucka do Kazania wyrusza pociąg specjalny, wiozący skarb Rosji – złoto zrabowane przez białogwardzistów Kołczaka z banku w Kazaniu, a odzyskane przez robotników Irkucka.

Załoga „złotego eszelonu" prócz olbrzymiej odległości musi pokonać liczne przeszkody piętrzące się przed pędzącym na zachód pociągiem. Tory kolejowe w wielu miejscach są zerwane, urządzenia stacyjne zniszczone. Co jakiś czas daje się we znaki brak węgla i wody dla parowozu.

Po odparciu ostatniego ataku białogwardzistów, wciąż nękających pociąg, na jednej ze stacji, gdzie puścili oni na „złoty eszelon" „dziką lokomotywę", dowódca Aleksander Kosuchin zarządza przyczepienie przed lokomotywą odpowiednio umocnionego wagonu z zainstalowanym wśród skrzyń i worków z piaskiem karabinem maszynowym. Na wagonie tym nieustannie pełni służbę dwóch żołnierzy wypatrujących zasadzki.

Przeprawa

Pociąg nieprzerwanie gnał na zachód, pozostawiając w tyle kolejne stacje transsyberyjskiej kolei. Po kilku godzinach jazdy tajga po obu stronach toru skończyła się i wjechali na biały, pokryty pagórkami step. Pociąg zaczął zwalniać i zatrzymał się.

Sasza zaciekawiony wyjrzał przez okno. Drogę przecinała im pokryta lodem rzeka.

– Zdaje się, że dłużej tutaj zabawimy – rzucił od niechcenia Iwan. – Most na rzece zerwany.

Dowódca pociągu organizował przeprawę.

– Sprawdzić grubość lodu; trzeba będzie ułożyć na nim tory i przetoczyć wagony. Nie ma innego wyjścia.

Przystąpiono do wyrównania terenu i sypania nasypu pod podkłady kolejowe. Most był doszczętnie zniszczony przez cofające się oddziały białogwardzistów i załoga pociągu nie była w stanie go naprawić. Trzeba było szykować przeprawę. Zapowiadał się kilkudniowy postój.

Iwan wbił w ziemię dwie szable, przeciągnął drut przez ich mosiężne gardy i na tak prowizorycznej kuchni zawiesił kociołek z wodą. Sasza był przy nim.

– Skończyły się dobre czasy, kiedy człowiek wyskakiwał z czajnikiem na najbliższej stacji i nabierał gotującej się wody na herbatę w „kipiatilniku". Widziałeś, Sasza, te kominy z piecem i kotłami koło wszystkich stacji? To właśnie resztki „kipiatilników" – drewnianych domków, w których bez przerwy gotowała się woda dla podróżnych.

Mimo mrozu praca przy układaniu toru szła żwawo. Już po dwóch dniach można było rozpoczynać przeprawę. Pierwsza przejechała po torach ułożonych na lodzie lokomotywa. Najgorsza praca czekała wszystkich przy przeciąganiu obciążonych ładunkiem wagonów. Po torach na rzece pojedyncze wagony musieli toczyć ludzie, bo pod ciężarem całego pociągu lód mógłby się załamać.

– Zdaje się, że tym sposobem będziemy musieli pokonać jeszcze niejedną rzekę – odezwał się Wasiliew do pomagającego mu Saszy.

– Całe szczęście, że na wielkich rzekach ocalały mosty. Tam dopiero byłaby robota.

„Biali" nie dają za wygraną

Sasza drzemał, skulony na pryczy w „ciepłuszce", gdy przez sen posłyszał wystrzały. Tuż obok grał karabin maszynowy, koło wagonu słychać

CIĄG DALSZY NA STR. 5

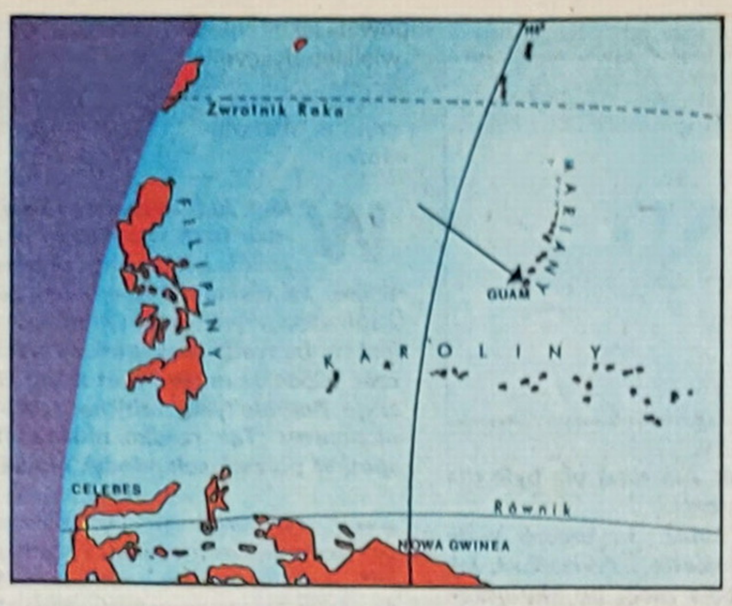

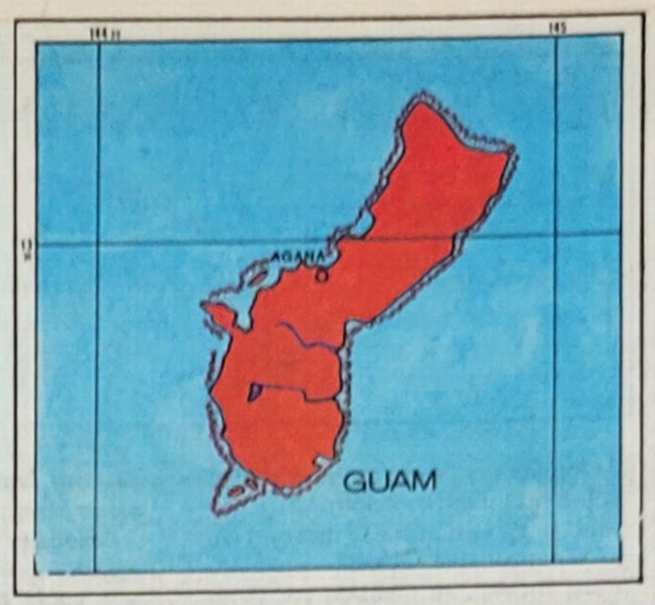

Ludzie i atole, czyli wędrówki po Mikronezji

GUAM (1)

WYSPA, GDZIE ZACZYNA SIĘ AMERYKAŃSKI DZIEŃ

„Ponad sto razy podniosło się słońce nad wiecznie pustym, nieruchomym błękitem, i ponad sto razy zaszło w ten sam pusty, nieruchomy, bezlitosny błękit, sto razy dzień zamienił się w noc, a noc w dzień, od chwili gdy flota Magellana wypłynęła na otwarte morze – i oto znowu rozlega się okrzyk z bocianiego gniazda: ląd, ląd!"

Tak oto opisuje Stefan Zweig w swojej książce*) lądowanie wyprawy Magellana na wyspie Guam w dniu 6 marca 1521 roku.

Jest rok 1977. Płynę w tłumie złożonym głównie z Japończyków zmierzających do odprawy paszportowej. Wielki „Boeing" wyrzucił nas na płytę ogromnego lotniska, które swymi rozmiarami nie pasuje wręcz do tej małej wyspy. Guam stanowi bowiem dość niezwykły punkt w światowej komunikacji lotniczej, gdzie maszyny cywilne korzystają z pasów startowych bazy wojskowej. Przy czym pasy te należą do najdłuższych, jakie zdarzyło mi się gdziekolwiek zobaczyć. To stąd pod koniec drugiej wojny światowej wznosiły się słynne „latające fortece"; stąd zresztą i dzisiaj startują naszpikowane elektroniką samoloty patrolowe dalekiego zasięgu.

Agana, główne osiedle Guamu, jest zwykłym skomercjalizowanym miasteczkiem amerykańskim, pozbawionym zresztą wdzięku i... jakiejkolwiek komunikacji komunalnej. Guam to dziwna Ameryka. Nie tylko leży ponad pięć tysięcy mil od Kalifornii, ale to „niewłączone" terytorium Stanów Zjednoczonych dzieli od kontynentu cała doba; bo przecież wyspa leży daleko na zachód od linii zmiany daty. Kiedy w USA jest niedziela, to w Agana trwa poniedziałek. Stąd Guam nazywa się w Stanach „wyspą, gdzie zaczyna się amerykański dzień".

– Panie, pan jesteś z Europy, to pana tak to nie złości jak nas – uświadamiał mnie przy śniadaniu w hotelu suchy jak tyczka gentelmen. – Przecież na kontynencie nawet nie wiedzą, że Guam należy do Ameryki! W Chicago pytają mnie ciągle, jakie obywatelstwo mają mieszkańcy Guamu, a kiedy raz chciałem wymienić w banku czek naszego lokalnego urzędu – kazali mi podać adres mojej ambasady!

Mruknąłem coś z udanym współczuciem, a rozsierdzony obywatel Guamu ciągnął dalej:

– Mamy kupę bezrobotnych, kartki żywnościowe dla sporej części obywateli, 40-milionowy deficyt w budżecie, a ci faceci z Waszyngtonu martwią się o... nasze powietrze. Kazali nam w naszej elektrowni używać mniej zasiarczonego paliwa, jakby tu była jakaś dolina w Kalifornii, a nie wysepka ze stałym passatem zdmuchującym te parę dymków wcześniej, nim się pokażą.

Jego wynurzenia zainteresowały mnie wielce, ale nie przyćmiły bynajmniej chęci obejrzenia wyspy własnymi oczami.

U wejścia do muzeum utonąłem oczywiście znowu w tłumie japońskich turystów. Na Guamie bowiem bez przerwy goszczą wycieczki z Nipponu, dla których wydaje się tu specjalne foldery w ich języku i wszędzie umieszcza informacyjne napisy. Dzięki temu drogą dedukcji ustaliłem nawet, jak się pisze po japońsku „dla panów". Goście z Japonii w wielkim skupieniu oglądają resztki pordzewiałego uzbrojenia żołnierzy cesarza, chytrze pewnie rozrzucone po wyspie przez urzędników magistratu, i fotografują, fotografują bez miary.

W muzeum największe zainteresowanie przybyszów z Kraju Kwitnącej Wiśni budzą zgromadzone przedmioty, należące do pewnego japońskiego sierżanta nazwiskiem Shoichi Yokoi, który na własną rękę prowadził wojnę z Amerykanami aż do roku 1972. Całe dwadzieścia osiem lat od zakończenia działań ukrywał się ten dzielny wojak w grocie leżącej stosunkowo niedaleko od magistratu w Agana! Jego rekord pobił o cztery lata inny żołnierz japoński, odnaleziony niedawno na Mindoro, w archipelagu filipińskim.

Popatrzyłem jeszcze trochę na interesujące fragmenty wykopalisk, stare fotografie, i pociągnąłem za Japończykami do parku kamiennych kolumn. Te dwumetrowe ciosane kamienie, zwieńczone obrobionymi kapitelami, stanowią prawdziwą zagadkę Mikronezji. Przypuszcza się, że są to pozostałości jakichś prehistorycznych kultur, społeczeństw, które istniały na tych wyspach, zanim zaludnili je przybysze z azjatyckiego lądu, przodkowie Mikronezyjczyków. Na samym Guamie kamienne kolumny występują w dwustu miejscach i – jak sądzą specjaliści – podtrzymywały przed tysiącami lat potężne budowle. W Latte Stones Park zebrano oczywiście kolumny z całej wyspy, aby „kochani turyści nam się nie męczyli".

A swoją drogą aż przykro pomyśleć, z jaką nonszalancją biali przybysze obchodzili się z ludźmi i rzeczami, jakie zastali na wyspach Pacyfiku. Bezmyślne okrucieństwo, wandalizm, a często i fanatyzm religijny – zniszczyły bezpowrotnie cenne – nie do odtworzenia już – pomniki przeszłości.

W „Guam Continental" – wielkim hotelu na małej wyspie – z wyjazdem na wycieczkę nie ma problemu. Zabrałem się z gromadą filipińskich sportowców znajdujących się w drodze na Hawaje. Weseli chłopcy i dziewczęta, świetnie mi się z nimi zwiedzało.

Z wiadomości fundamentalnych zapamiętałem, że wyspa ma nieco ponad pięćset kilometrów kwadratowych powierzchni i że jest największa w archipelagu Wysp Mariańskich, dawniej Złodziejskich. Jej długość wynosi niespełna pięćdziesiąt kilometrów, a w najszerszym miejscu – czternaście kilometrów.

Guam jest szczytem podmorskiej góry, której podstawa znajduje się głęboko pod powierzchnią oceanu. Zresztą bardzo niedaleko mamy słynny Rów Mariański, czyli najgłębsze miejsce na naszym globie, gdzie skryłby się cały Mount Everest, i jeszcze brakowałoby mu około mili, aby mógł wynurzyć się chociażby tak mało jak nasz Guam.

– Proszę państwa, panie, panowie – zwrócił się Jim do naszej trzódki – uderzenie na Guam przeprowadzili Japończycy dwa dni po ataku na Pearl Harbour. Zajęcie naszej wyspy nie

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

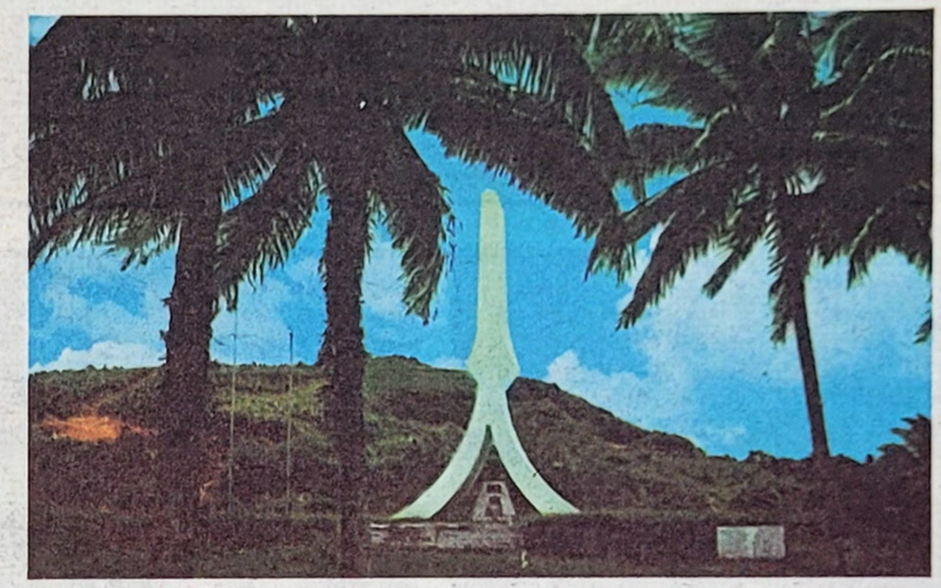

Monument poświęcony pamięci Japończyków, którzy zginęli na Guam w czasie drugiej wojny światowej

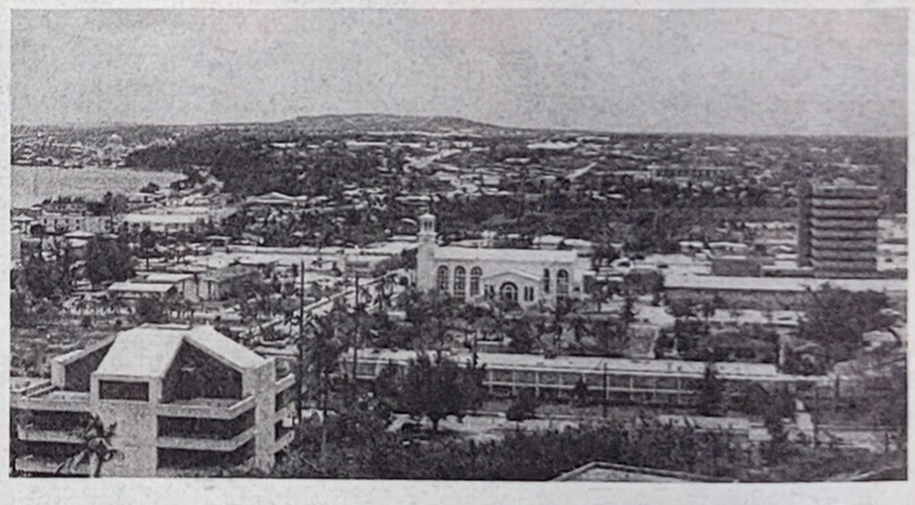

Agana – stolica wyspy jest niewielkim prowincjonalnym miasteczkiem

Na Guam przylatuje się odrzutowcem pokrytym jak patelnia warstwą teflonu

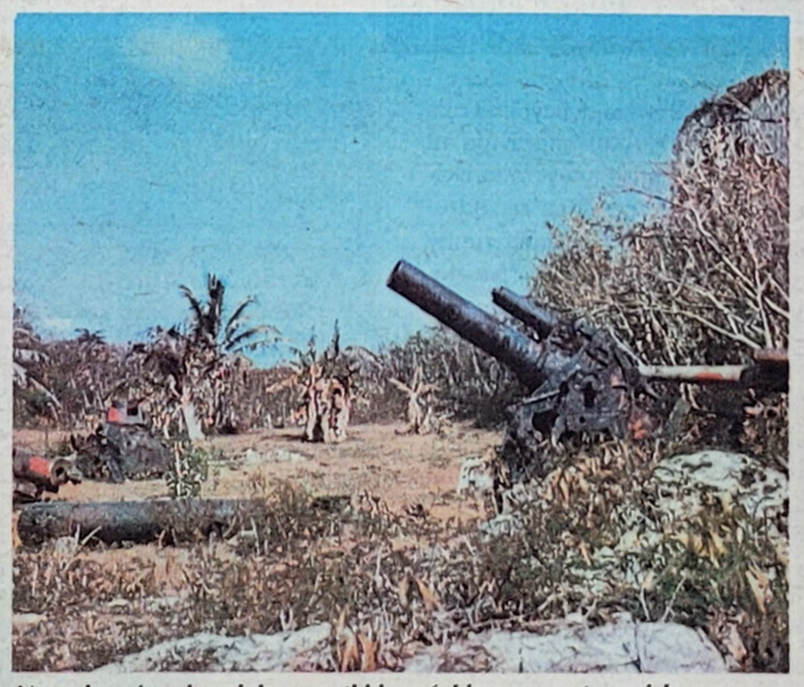

Na wybrzeżu rdzewieją szczątki japońskiego sprzętu wojskowego

Fot. **J. Wolniewicz**

***) Jest to fragment przygotowanej do druku książki pt. „Ludzie i atole", która ukaże się nakładem wydawnictwa MON**

Z „GŁUSKIEM" NA WĘGRZECH I W CZECHOSŁOWACJI

Zdarzyła mi się wyjątkowa przygoda: zabrałam się w podróż z Zespołem Pieśni i Tańca Ludowego ZSMP „Głusk" – na Węgry, a potem do Czechosłowacji. Zespołowi potrzebna była kronikarka, a mogłam się też przydać jako inspicjentka – ktoś, kto pomoże przygotować odpowiednie stroje, dopilnować wyjścia na scenę, pomóc przypiąć wianek na głowie solistki.

Kilka słów o zespole. „Głusk" swoją nazwę wziął od wsi, w której powstał przed 15 laty. To parę kilometrów od Lublina. Dlatego dzisiaj w zespole śpiewają i tańczą nie tylko głuskowianie, ale i uczniowie lubelskich szkół, studenci, pracownicy różnych zakładów i urzędów. Szefuje zespołowi dr Krzysztof Ciejpa-Znamirowski, pracownik naukowy Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej. W Zespole są i starsi, i młodsi. Najstarszą osobą jest p. Łucja Strzelcowa, solistka (ósmy krzyżyk!), jedną z najmłodszych – moja rówieśnica, 14-letnia Gosia.

Zespół ma próby trzy razy w tygodniu, po 2–3 godziny. Może się komuś wydawać – co tam praca w zespole? – ot, trochę się pośpiewa, trochę potupie na scenie... Obserwując pracę „Głuska" nie z widowni, lecz w kuluarach, mogłam zobaczyć ile kosztuje trudu. Zdyszane dziewczyny, zmordowani chłopcy między jednym a drugim tańcem muszą wciskać się w dopasowane stroje i pamiętać o tym, że zaraz trzeba wybiec na scenę. A kapela w ciągu godzinnego spektaklu w ogóle nie ma przerwy. Trzeba też brać pod uwagę niespodziewane „kraksy", jak urwanie się guzika przy bluzeczce, czy rozluźnienie warkocza...

Z Głuska wyruszyliśmy na Węgry autokarem o 4 rano. Całą drogę, zaprzyjaźniony od lat z zespołem kierowca, pan Jerzy Kunz, postanowił odbyć za jednym zamachem. Wszyscy zaraz chrapnęli, tak zresztą było i później, bo w autokarze najlepiej się odsypia zarwane noce. W Solnoku zakwaterowano nas na niewielkim statku i tu spędziliśmy kilka dni, robiąc wypady na koncerty w Solnoku, Hajduszoboszlo i Debreczynie. Każdy występ był gorąco oklaskiwany, niektórzy widzowie przyjeżdżali na koncerty po parę razy. Jedna staruszka obejrzała wszystkie występy i zawsze bliska była łez. Tacy widzowie są zespołowi bardzo potrzebni. Ale zdarzało się, że widownia reagowała jakby chłodno – wtedy trzeba wielkiej dyscypliny wewnętrznej w zespole, żeby dotrwać na deskach sceny do końca z werwą i humorem.

Ogromne znaczenie ma dobry humor i samopoczucie tego kilkudziesięcioosobowego kolektywu. Trafiają się różne przygody i... psikusy. Byliśmy kiedyś bardzo przerażeni, kiedy na Węgrzech zginęła nam jedna z dziewcząt. Czyżby porwali ją ogniści „bratankowie"? Tymczasem dziewczyna została ukryta... w bagażniku towarzyszącego nam auta. Innym razem figla spłatała reszcie zespołu kapela. Między nią a grupą tancerzy ciągle wybuchały kłótnie, oczywiście przyjacielskie. Tancerze przedrzeźniali „grajków", podśpiewując przy lada okazji ich ulubioną piosenkę na swój sposób: wigwam, wi-gwam, pararam, pararam... Ambitni panowie z kapeli postanowili się zrewanżować. Podczas któregoś z kolei koncertu, szedł właśnie bystry krakowiak, kapela dała „stop" i rozległ się grany na dwóch trąbkach... hejnał mariacki. Tancerze z początku znieruchomieli, potem gruchnęli śmiechem, dopiero przytomny zawsze Leszek dał wszystkim znak: do kółeczka! – i taniec potoczył się dalej, tak, że widownia nie zorientowała się w sytuacji.

Z Węgier pojechaliśmy do Czechosłowacji, zaproszeni na międzynarodowe wystawy rolnicze w Nitrze i Czeskich Budziejowicach. To były także piękne dni. Na przykład w Nitrze po występach w amfiteatrze zespół paradował w strojach po całym terenie wystawy. Ludzie podchodzili do nas z zaciekawieniem, oglądali stroje i uśmiechali się z uznaniem. Najładniej wyglądali chłopcy w kontuszach. Piękne też były stroje rzeszowskie (ślicznie wyszywane chusteczki dziewcząt), łowickie (uff, jakie ciężkie, ale też jakie barwne!) i krakowskie. Występowaliśmy też w wielkim domu towarowym i wprost na ulicach miasta. To jest wielka zaleta „Głuska" – że umie znaleźć się w każdej sytuacji.

HANNA WIECHNO
uczennica klasy Ib
Liceum im. J. Kochanowskiego
w Warszawie
Fot. **Dorota Bilska**

DO WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW PIOSENKI!

Atrakcyjne albumy „KLUBU MIŁOŚNIKÓW PIOSENKI" wydawane są od 1968 roku przez Polskie Wydawnictwo muzyczne – Redakcja „SYNKOPA".
Uczestnicy klubu otrzymują 6 albumów w ciągu roku, zawierających między innymi: felietony napisane przez wybitnych muzykologów, prezenterów i krytyków muzycznych znanych z pism, radia i telewizji.
W albumach tych zamieszczane są najpopularniejsze przeboje i piosenki w przystępnych opracowaniach na głos z podaniem funkcji harmonicznych dla wykonywania ich na gitarze lub akordeonie.
Cena rocznej prenumeraty wraz ze wszystkimi kosztami wynosi 72 zł.
Sprzedaż tylko w prenumeracie.
Osobom zainteresowanym dostarczy prospekty i formularze Powszechna Księgarnia Wysyłkowa. ul. Nowolipie 4, skr. pocztowa 1003, 00-950 Warszawa.

K–240

TO WCALE NIE PLOTKI...

Czy wiecie co wydarzyło się na Rynku w Krakowie pierwszego roku I wojny światowej? Otóż na Rynku w Krakowie ogólnie szanowany obywatel miasta – dr Eliasz Radzikowski, znalazł ni mniej, ni więcej, tylko... młodego, majowego chrząszcza! I nie byłoby w tym może nic niezwykłego, a zatem godnego uwagi i notatki w gazecie, gdyby nie fakt, iż stało się to w grudniu! Sto dwadzieścia lat wcześniej, zanim „Nowa Reforma" doniosła o owadzim curiosum, krakowski Rynek i tłumnie zgromadzeni na nim mieszkańcy byli świadkami publicznej egzekucji pewnego księdza, oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Rosji. To na jego bruk rzucił się z czwartego piętra kamienicy malarz – samobójca, to wreszcie spod jednego z domów biło w XIX stuleciu podskórne źródełko. Początkowo uznawano je za wodę mineralną, dopiero aptekarz Sawiczewski, przeprowadziwszy dokładną analizę udowodnił, iż była to „najzwyklejsza uryna, która przed długie lata przenikając grunt wydobyła się na wierzch".

Tak więc dzięki nieocenionej prasie, a jeszcze wcześniej drobiazgowym zapisom kronikarskim, wiemy o tym, co i kiedy wydarzyło się na krakowskim Rynku – miejscu niezwykłym nie tylko z racji centralnego położenia w królewskim grodzie. Wiemy dzięki Wydawnictwu Literackiemu, które przygotowało książeczkę niezwykłą – zbiorek informacji o sprawach ważnych i mniej ważnych, jak to widnieje w podtytule. Te na pierwszy rzut oka ploteczki nie są bynajmniej bezwartościową masą, z której nie można niczego absolutnie wyczytać. Łatwo się o tym zresztą przekonać już w trakcie lektury kilku pierwszych stron. Świetnie dobrane ilustracje Kazimierza Wiśniaka są dodatkową atrakcją tej książki – bodajże pierwszej tego typu monografii rynku, którą czyta się naprawdę jednym tchem. **(tem)**

„Na Rynku w Krakowie, czyli o sprawach ważnych i mniej ważnych które się tu wydarzyły w latach 1257–1939", Wydawnictwo Literackie 1978, s. 150, cena 45 zł.

Złoty eszelon

CIĄG DALSZY ZE STR. 4

było szybkie kroki, bieganinę, głosy wydające rozkazy. Ktoś szarpnął zasuwę „ciepłuszki", otworzył ją, jedną ręką oparł się na podłodze, drugą chwycił za klamry i skoczył do środka wagonu. Sasza zerwał się z pryczy jak oparzony i chwycił swój karabin. Do wagonu wpadło jeszcze kilku żołnierzy. Poznał swoich.

– Cholera, przycisnęli nas – odezwał się Iwan.

– Rozbili mojego „maksyma". Jak nic, będzie ich ze dwie setki.

Sasza wystawił karabin przez otwór strzelnicy „ciepłuszki" i spojrzał na pole bitwy. Pociąg stał w lesie. Wszędzie słychać było gęstą strzelaninę i wybuchy granatów. Czerwonoarmiści leżeli pod wagonami, skryci za kołami pociągu. Wśród drzew dojrzał kilku białogwardzistów szykujących się do ataku. Rozpoznał paru kawalerzystów w czarnych mundurach z białymi naszywkami. Były to niedobitki korpusu generała Annienkowa, w którym bito za byle co, rozstrzeliwano bez sądu. Nie więcej niż 1000 ludzi liczył ten oddział zabijaków, a po każdej nowej wyprawie topniał do połowy, jako że ci, którzy już się obłowili rabując, nie chcieli dalej narażać życia.

– Dlaczego stoimy? – spytał Sasza.

– Musieliśmy się zatrzymać, bo skończył się węgiel. Zaczęliśmy już rąbać drzewo do parowozu, gdy nagle wyskoczyli na nas „biali". Pewno chcieli tu gdzieś rozkręcić szyny, żeby nas zaskoczyć, a my sami wleźliśmy im w łapy.

Sasza powoli odsunął drzwi po drugiej stronie wagonu i skoczył w śnieg.

Aleksander Kosuchin podczołgał się do swoich żołnierzy.

– Sami nie damy rady, musimy stąd koniecznie odjechać. Sasza, skocz do parowozu i powiedz, żeby natychmiast ruszali.

„Ciepłuszka" doczepiona była tuż za lokomotywą, więc Sasza szybko znalazł się w parowozie.

– Dowódca rozkazał za wszelką cenę ruszyć – powiedział.

– Tak, tak, sam o tym wiem, widzę, co się dzieje. Hajcuję już od kwadransa w kotle, pomocnik pada mi ze zmęczenia, ale drzewo to nie węgiel i ciśnienie stale mam jeszcze za małe.

Sasza spojrzał na manometr. Było 13,6 atmosfery, a ruszyć mogli dopiero od czternastu. Odstawił karabin i zaczął pomagać maszyniście i jego pomocnikowi palić w kotle.

Walka nie ustawała. Białogwardziści wiedzieli, że długo nie trafi im się taka szansa, nacierali więc uparcie.

– Spróbujmy – zawołał Wasiliew, szarpnął lewar i puścił parę na tłoki. Sasza pociągnął za gwizdawkę i dał sygnał. Żołnierze w wagonach rozpoczęli kanonadę, osłaniając swoich kolegów, którzy wyskakiwali spod wagonów, aby jak najszybciej znaleźć się w pociągu. Lokomotywa szarpnęła, stuknęły zderzaki i pociąg powoli zaczął toczyć się po torach. Byli uratowani!

Szczęśliwy powrót

Po kilku dniach minęli Krasnojarsk, położony w dolinie wyżłobionej przez potężny Jenisiej.

Zatrzymali się dłużej w Sudżence. Były tutaj kopalnie węgla i nareszcie mogli wypełnić nim cały tender parowozu i zabrać jeszcze na zapas.

Saszę zbudził przejmujący chłód. Rozejrzał się po „ciepłuszce". Jadący z nim czerwonoarmiści spali, a nie podsycany w piecyku ogień dogasał.

Pociąg wjeżdżał na żelazny most, spinający brzegi szeroko rozlanego Irtyszu. Nad rzeką rozłożyło się wielkie miasto. Był to Omsk. Na peryferiach dostrzegł mnóstwo drewnianych domków, a jeszcze dalej za miastem, na białej równinie, czerniły się jurty Kirgizów. Przy ujściu Omki do Irtyszu widać było kilka parowców rzecznych.

Najtrudniejszy odcinek drogi mieli już za sobą. Po przeszło półtoramiesięcznej podróży złoty ładunek dotarł 3 maja do miejsca przeznaczenia – Kazania.

Skarb Rosji powrócił na swoje miejsce, wprawdzie nieco uszczuplony, ale i te odzyskane 410 milionów rubli w złocie pomogły odbudować kraj ze zniszczeń wojennych.

JANUSZ ORŁOWSKI

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (46)

KONKURS FOTOGRAFICZNY NASZEGO KĄCIKA ROZSTRZYGNIĘTY

Zdjęcia dziś przedstawione to wynik Waszej pracy, efekty przyrodniczych obserwacji, wiedzy przyrodniczej i znajomości zasad fotografii. Mamy satysfakcję, jeżeli „Świat Młodych" też ma w tym udział. Wyróżnieni dziś i podpisani pod zdjęciami autorzy otrzymują normalne honoraria. Ale to jeszcze nie koniec konkursu. Jego finał wyznaczą sami czytelnicy. **Napiszcie, które zdjęcie Waszym zdaniem jest najlepsze i dlaczego zasługuje na specjalne wyróżnienie.** Nie kierujcie się ani tym, że jest lub nie jest barwne, ani jego wielkością. Uwaga! Każdy typuje tylko jedno zdjęcie. Kartki pocztowe z Waszymi opiniami w tej sprawie należy nadesłać do dnia 16 listopada br. pod adresem: **„Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA.** Wśród autorów kart pocztowych z opiniami rozlosujemy **nagrody-upominki,** a autor zdjęcia, które otrzyma najwięcej głosów zostanie nagrodzony **Nagrodą Specjalną.**

MAREK OSTROWSKI

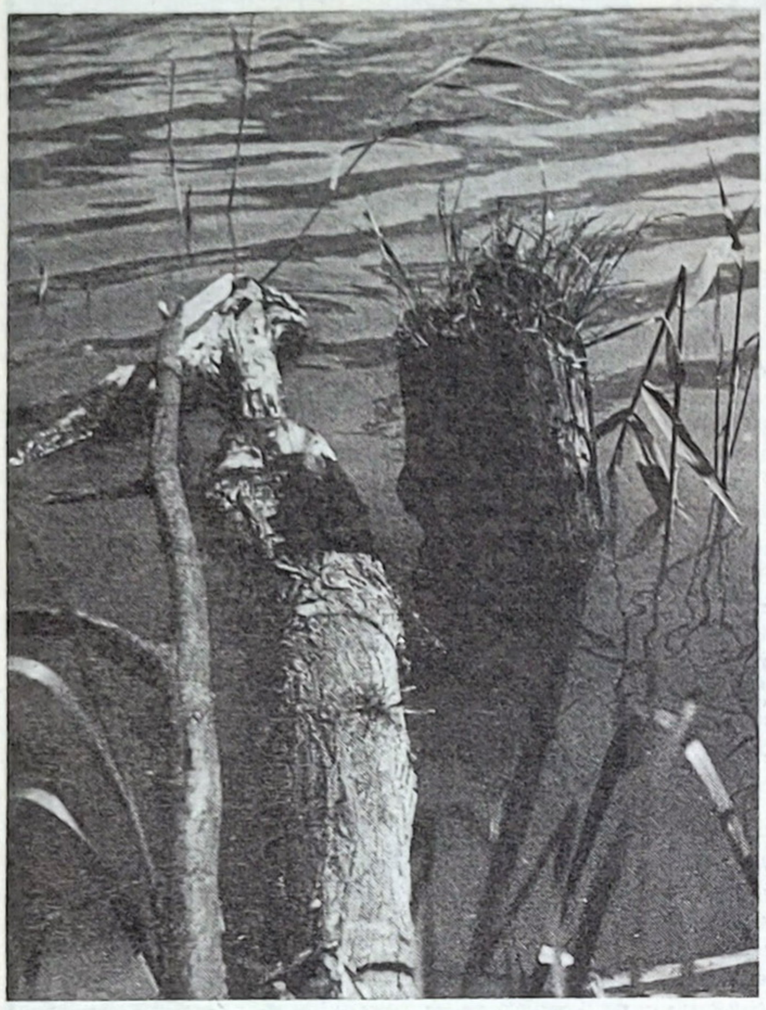

WALDEMAR KOŁECKI, Pasłęk

TOMASZ HRYNIEWIECKI, Białystok

JACEK BŁASZCZYK, Radom

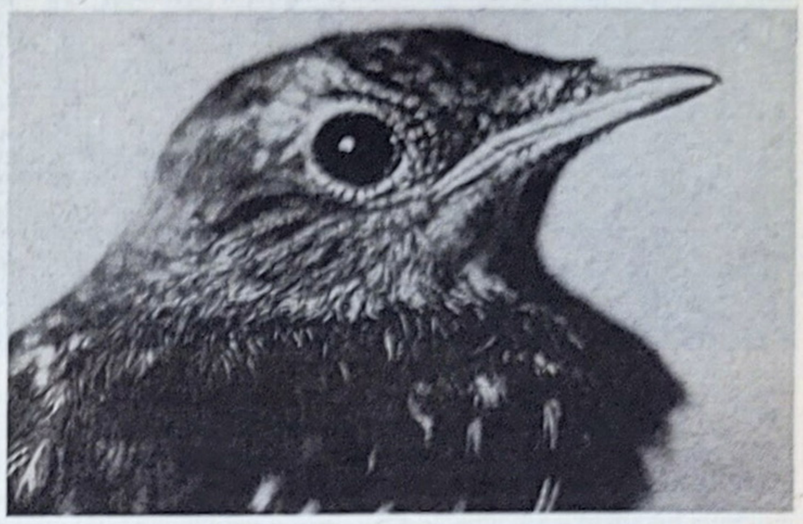

W. GORZELSKI, PAWEŁ OGLĘCKI, Warszawa

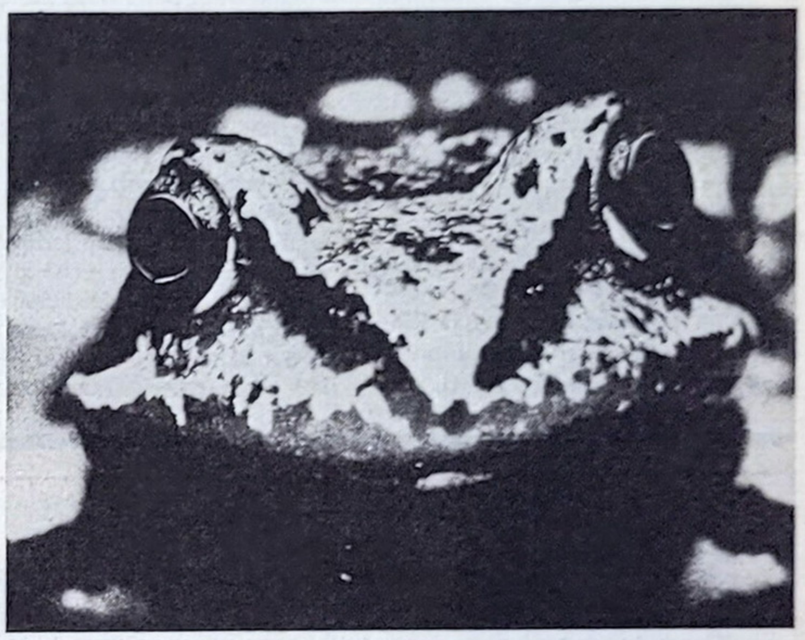

JAROSŁAW RUTKOWSKI, Gdańsk

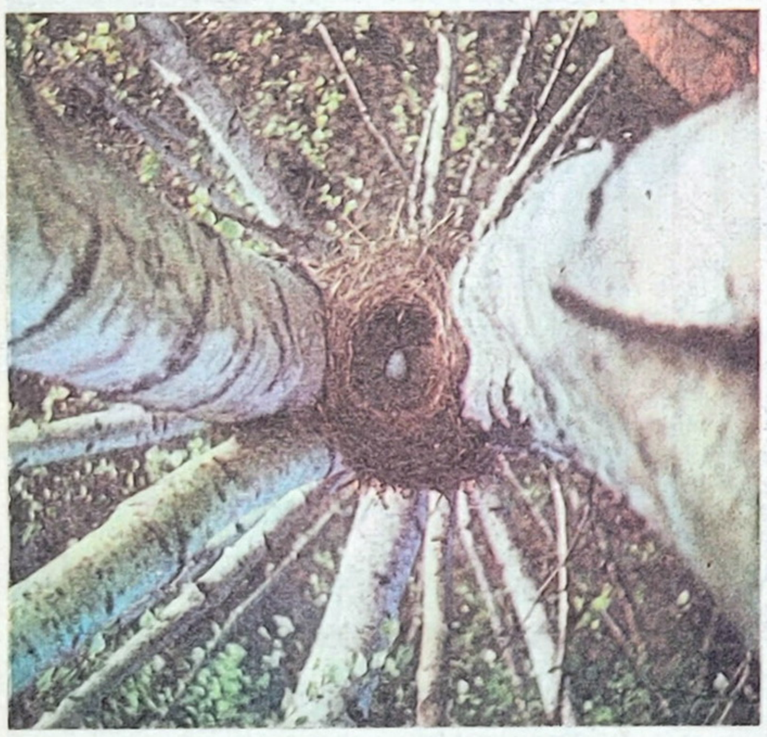

GRZEGORZ JAWORSKI, Jastrzębie-Zdrój

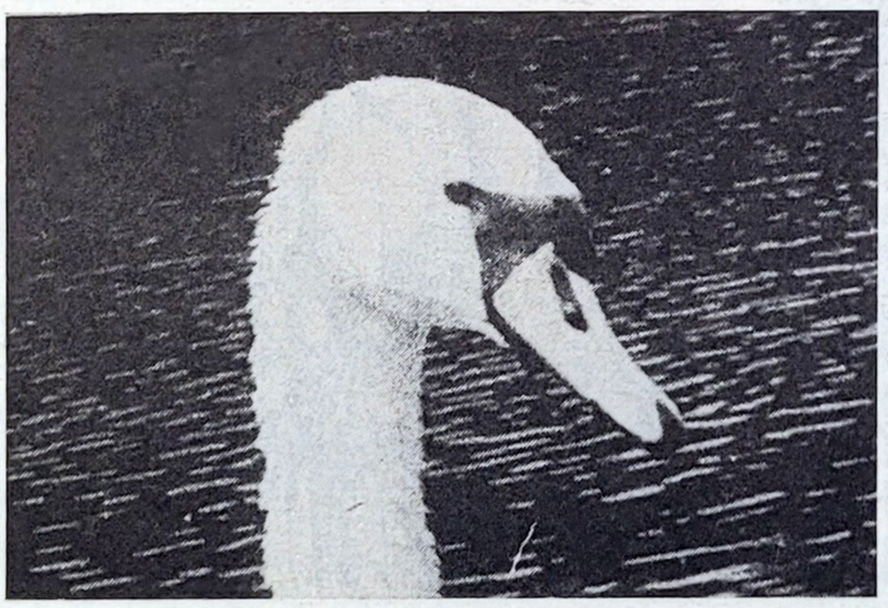

MICHAŁ KEHL, Warszawa

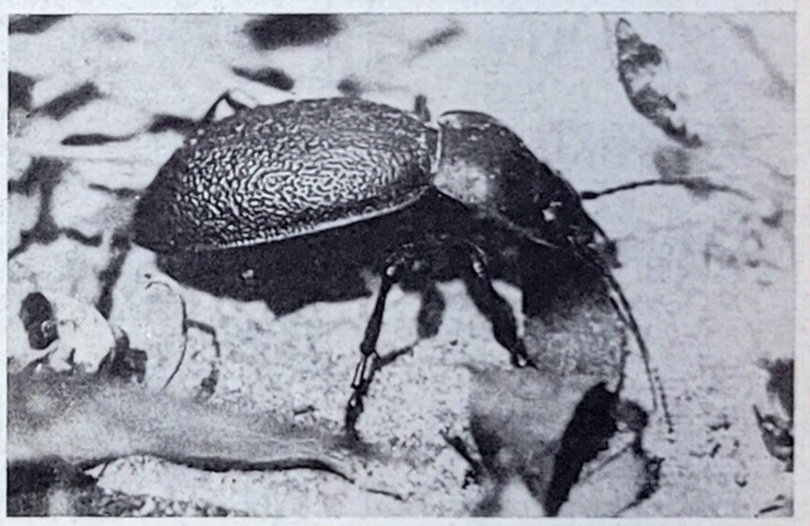

JAKUB LIBERSKI, Mysłowice-Imielin

JERZY SKUPIEŃ, Szczawno-Zdrój

ROBERT CHUDZYŃSKI, Pilitowo

WYSPA, GDZIE ZACZYNA SIĘ AMERYKAŃSKI DZIEŃ

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

sprawiło im żadnej trudności, ponieważ w myśl porozumienia waszyngtońskiego nie była ona ufortyfikowana. Trałowiec „Penguin", stawiający opór okrętom japońskim, został zniszczony przez jednostki osłaniające niewielki desant.

Jim zaczerpnął powietrza, uśmiechnął się zadowolony, że słuchamy go uważnie i ciągnął dalej: – „Penguin" nie był zresztą pierwszym okrętem, który zginął na tych wodach w wyniku działań wojennych. Jego poprzednikiem był słynny niemiecki krążownik pomocniczy „Cormoran".

W grudniu 1915 roku zawinął do naszego portu i został internowany. Załoga tego okrętu podejmowana była życzliwie przez neutralnych jeszcze Amerykanów. Idylla skończyła się 7 kwietnia 1917 roku, po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny. Na „Cormorana" wysłano oddział wzywający marynarzy niemieckich do poddania się. Niemcy jednak wykiwali Amerykanów i wysadzili okręt w powietrze. Morskie fatum sprawiło, że dokładnie na wraku „Cormorana" zatonął w styczniu 1943 roku japoński frachtowiec „Toaki Maru", po ataku torpedowym jednego z amerykańskich okrętów podwodnych. Dzisiaj oba wraki stanowią turystyczną atrakcję przyciągającą czeredy płetwonurków.

Zbliżaliśmy się do zatoki Umtac, gdzie podobno lądował Magellan. Dla innych Filipińczyków był to ważny punkt wycieczki, bo przecież ten właśnie żeglarz odkrył ich archipelag, a potem zginął na maleńkim Mactanie z ręki filipińskiego wodza Lapulapu.

Jim – sympatyczny chłopak – wyróżniał mnie z całej grupy. Rozumiem go po trosze. Dla niego Europejczyk na tej wyspie był ludzkim stworzeniem bardziej egzotycznym niż dla Polaka Papuas czy Eskimos.

Całą powrotną drogę przepaplaliśmy na przemian o Polsce i Guamie. Jak było do przewidzenia, nasz kraj lokował on z dużą precyzją gdzieś między Pirenejami a Wołgą; słyszał też coś o Koperniku, ale nie kojarzył tego z Polską. Ja dla odmiany wykazałem karygodną, jego zdaniem, ignorancję w dziedzinie znajomości wysp składających się na archipelag Mariany.

– Jak to, ty naprawdę nie słyszałeś nic nigdy o takich wyspach jak Maug, Alamagan, Uracas?!

– Naprawdę nie słyszałem.

– To może chociaż o Sarvigonie albo Farallon de Medinilla? – prosząco już pytał Jim.

Nie pozostało mi nic innego, jak zaprosić go do „Magellan Coffee Shop", kiedy przyjechaliśmy już na hotelowy parking.

(W następnym odcinku przeczytacie o niezwykłych opowiadaniach Jima).

JANUSZ WOLNIEWICZ

Autorką mego portretu tygodnia jest dziś „Ulka".

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Ogłaszam apel do wszystkich Wielbicielek i Wielbicieli piszących listy na podawane przeze mnie adresy:

Do każdej koperty, jeśli chcecie otrzymać odpowiedź, wkładajcie znaczek pocztowy! Oto, co napisała mi pewna Czytelniczka:

Rzepie, otrzymałam bardzo dużo listów od wielbicielek mego „bożyszcza". Odpisuję na wszystkie i dotychczas wydałam już na znaczki 60 złotych. Na SKO mam tylko 100 zł, a miesięcznie dostaję na drobne wydatki tylko 40 zł. Co robić?! Głupia sytuacja. A gdyby każda moja korespondentka „szarpnęła się" na znaczek za 1,50 zł nie byłoby problemu...

Racja! Od dziś w sekcji WiW obowiązuje zasada: **NIE ZAŁĄCZYŁEŚ DO LISTU ZNACZKA NA ODPOWIEDŹ – NIE OTRZYMASZ JEJ!**

* * *

GEORYMY

Westchnęła pewna lilia:
Jaka piękna jest Brazylia!
Na to odezwał się jeż:
A ja wolę Bangladesz!
Wtem krzyczy kwoka z Maroka:
Powiedzcie tej karawanie,
że ma spotkanie w Sudanie!

„Wiewióra"

Niedaleko Kansas City
i owca cała i wilk syty...

Dorota C.

W Katowicach, w Wadowicach
chodzą żółwie po ulicach,
a w Warszawie na zabawie
chodzą na bosaka pawie...

Danka J.

Dotarła do nas pocztówka od kolegi Amorka z ciepłych krajów. Nie traci on tam czasu. Uczy się strzelać u prawdziwego fachowca!

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

WYNALAZKI KRASNOLUDKA

Już nie wiem, po raz który podziwiamy talent naszego kolegi Krasnoludka. Ostatnio dokonał znów kilku genialnych wynalazków:

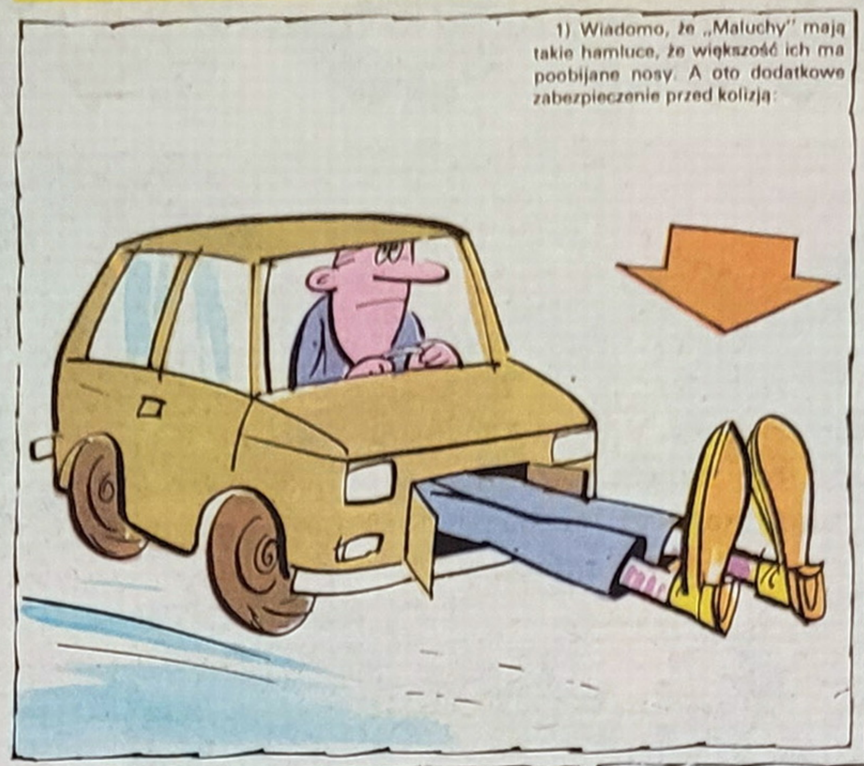

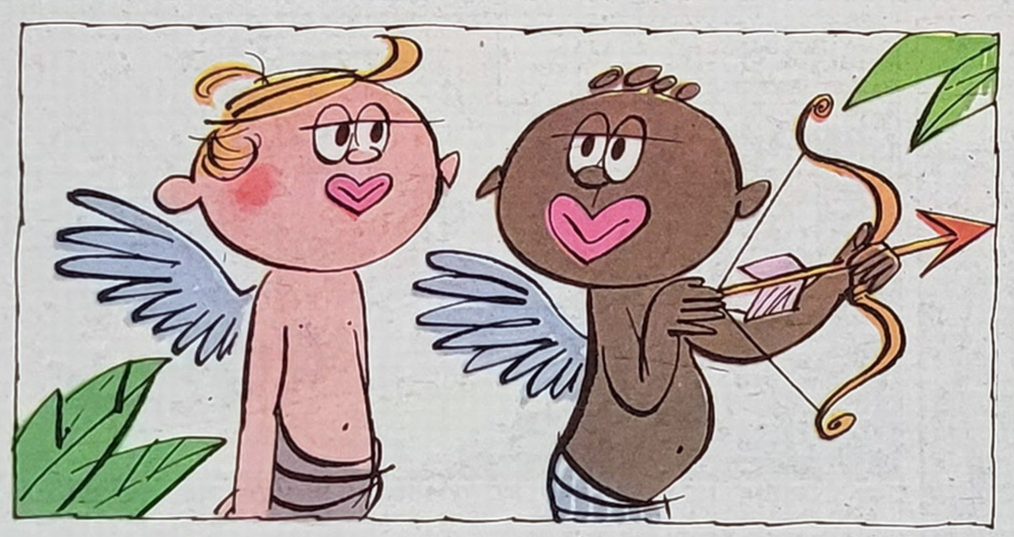

RZEPKLUB

Wpisuję na listę klubu Roberta Filipowicza, który nadesłał taki oto wyszperany żart rysunkowy.

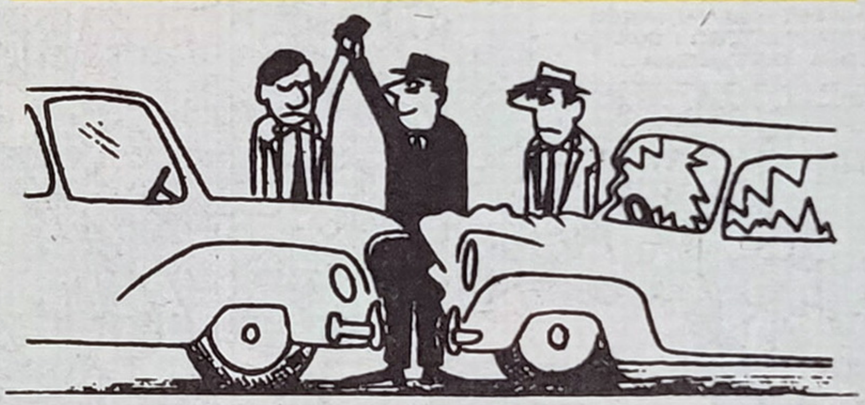

wywać na ulicy. Lubię sobie czasem pochodzić wieczorkiem. A skąd macie takie ballady?

– To nasze własne.

– Ach, wasze własne... To pięknie! Zuchy z was, nie daliście się złapać.

– Tak, ale straciliśmy gitarę.

– No cóż! Różnie się zdarza. Lepiej wszelako stracić gitarę niż głowę. Niezłe były te wasze piosenki. Całkiem niezłe.

– Podobały się panu?

– Hm... Jakby to powiedzieć? Coś w nich jest. Oczywiście nie jest to jeszcze doskonałość, ale...

– To nasze początki.

– Rozumiem, rozumiem...

– I wcale nie najlepsze...

– Tak wam się wydaje. Czasem bywa, że to, o czym myśli się, że nie jest najlepsze, okazuje się właśnie najlepsze.

– Cieszymy się, że tak nam się udało.

– Jeszcze wam się nic nie udało. Dopiero może się udać. Moglibyście może pośpiewać trochę u mnie?

– Dlaczego nie? Czy znajdzie się tu jakaś gitara?

– Może by się i znalazła.

– To świetnie! Tylko trochę odpoczniemy. Mieliśmy dziś dużo przygód.

– Chyba mnie źle zrozumieliście. Nie zaraz. Wpadnijcie do mnie nie wcześniej niż, powiedzmy, za tydzień... Wtedy zobaczymy. Może puszczę was na estradę na piętnaście minut. Tylko musielibyście przedtem omówić repertuar. No to jak? Zgoda?

– Chyba tak... Co o tym myślisz, Piotrze?

Piotr skinął głową i powiedział, że tak, że dobrze. Oczywiście zgadzają się, jest im bardzo przyjemnie i tak dalej.

Z wnętrza kafejki dochodziły odgłosy muzyki, gwar rozmów, śmiechy. Tak bawi się wesoły Paryż. Nie! Tak bawią się ci, którzy przyjechali do Paryża, aby spędzić wesoło kilka dni i nocy.

Właściciel poklepał Piotra po ramieniu.

– No to jesteśmy umówieni – powiedział. – Nie płacę dużo, ale jak wam się uda... Wpadnijcie do mnie za parę dni wieczorkiem, to pogadamy.

– Za parę dni będziemy mieli nowe piosenki – powiedział Jan. Ale właściciel już nie słuchał. Rzucił im krótkie „do zobaczenia" i zniknął za drzwiami swojej kafejki.

Była już późna noc. Zaczynała się pora odpoczynku. Malarze zwijali powoli swoje manatki i odchodzili w ciemność. Czasem tylko jakiś podpity przechodzień, śpiesząc do domu, zaśpiewał pod nosem wesołą melodię albo... Właśnie wyszli z wąskiej uliczki podochoceni turyści w tyrolskich kapeluszach i rozstawiwszy się w poprzek jezdni ze śpiewem, śmiechem i hałasem, zatrzymywali przejeżdżające samochody. Kierowca musiał się okupić, ściskając wszystkie wyciągające się do niego dłonie.

Jeszcze głośniej, jeszcze weselej! Wszystko może zdarzyć się w Paryżu. Ale czas wracać do domu, do hoteliku przy ulicy Condaminé. Zapłacili przecież za całą dobę. Tylko jak tam teraz iść w nocy? Dzwonić? Budzić właścicielkę? Zmuszać ją do otwierania drzwi za „dziękuję". Będzie zła. I jeszcze trzeba będzie obudzić Beniamina, który co prawda jest u nich gościem, ale czuje się jak właściciel łaskawie tolerujący ich obecność.

To może lepiej przełazić po ulicy do rana? Niedługo już będzie świtać. Obaj czuli się bardzo zmęczeni, ale podniecenie nie da im zasnąć. Przecież zostali zaangażowani na występy i dokonało się to w sposób tak niespodziewany, jakby było tylko snem. Szli obok siebie milcząc. Schodzili w dół, mijali wąskie ciche uliczki... Zdawało im się, że idą w kierunku tej swojej rue Condaminé, a jednak gdzieś widocznie zboczyli i wszystko im się pomyliło. Nie ma kogo zapytać.

Zrobiło się chłodno, zaczął popadywać drobny deszcz.

– No i zabłądziliśmy – stwierdził Piotr.

– Nic się nie martw, jakoś dojdziemy. Przy okazji zobaczymy jeszcze kawałek Paryża. A deszcz? Bardzo przyjemny, ale jak ci przeszkadza, to zaraz... – Jan podniósł głowę do góry i wyrecytował dramatycznym głosem: „O, niebo, przestań płakać nad naszą niedolą!"

Rzeczywiście, przestało padać. Zza chmur wyjrzał księżyc i oświetlił mroczną ulicę.

Cdn.

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ORIENT MEN

ŚMIESZY · TUMANI · PRZESTRASZA

ODC. 10

STRESZCZENIE

ORIENT-MEN CIUJĄC ROZPIERAJĄCĄ GO MIŁOŚĆ I UZDOLNIENIA, LECI DO CELU SWOJEJ PODRÓŻY. WSZYSTKO BYŁOBY DOBRZE GDYBY PO DRODZE NIE NAREPEROWAŁ W DODATKU ŹLE, ZIMNY KALORYFER ESKIMOSA. TENŻE ESKIMOS POJAWIA SIĘ ZNOWU W OSTATNIM ODCINKU PRZERYWAJĄC CIEKAWĄ ROZMOWĘ ORIENT-MENA Z SZEWCEM, PRZYŚPIESZAJĄC TYM SAMYM JEGO WYRUSZENIE W DALSZĄ PODRÓŻ

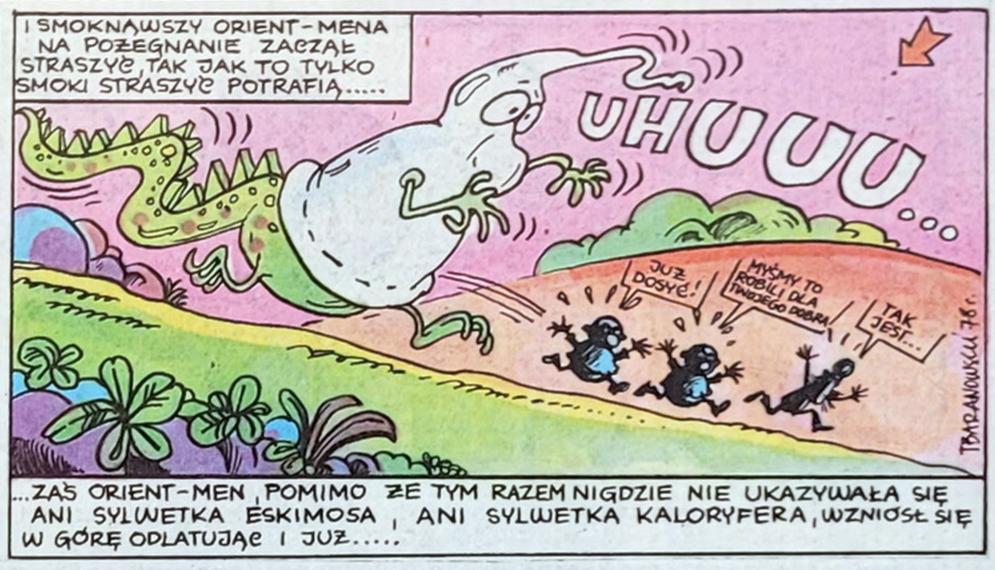

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Karnińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne: Tadeusz Baranowski

Opracowanie techniczne: Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 7060/G S-5

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Usiedli na kamiennym stopniu, Jan wyciągnął notes i napisał tytuł: „O śpiewaku, który zgubił gitarę."

– To będzie nasza piosenka na pamiątkę. Trochę smutna, trochę wesoła – powiedział. – Już mi coś snuje się po głowie.

U stóp potężnej katedry, wysoko ponad uśpionym miastem łatwiej składają się słowa niż w małym pokoiku na pięterku. Pisał wielkimi literami na kartkach wydartych z notesu i zagryzmolone arkusiki chował do kieszeni. Piotr zaglądał mu przez ramię i nucił.

Moja najdroższa, moja kochana,
kawałek drewna i osiem strun,
grać sobie będę, śpiewać do rana –
trarara – tarara – bum!
Gdzieś mi ją schował, Paryżu stary?
Paryżu, oddaj gitarę nam!
Bo ci zaśpiewam – już bez gitary –
piosenkę gorzką, piosenkę złą...

No i co? Prawie dobrze! Możemy pójść dalej. W dzień uporządkuje się zwrotki, wygładzi, rozbuduje melodię. Melodia zresztą mogłaby już zostać taka.

– No, stary, udało się ci!

– Udało nam się – poprawił Piotr. Wstał, zapiął bluzę na piersiach i uderzył Janka w ramię. – Idziemy dalej – powiedział. – Ciekawe, czy ten brodacz skończył już swój portret. Zajrzymy do malarzy, oni przynajmniej nie zakłócają porządku publicznego.

Ruszyli przed siebie.

Taki jest Piotr. Gdy mu wpadnie do głowy dobra melodia, to zaraz myśli, że cały świat należy do niego. Za jakieś pół godziny przytomnieje i znowu jest sobą. Zresztą Janek nie miał nic przeciwko odwiedzinom u malarzy.

Zapuścili się w wąskie uliczki starej dzielnicy. Szli na pamięć jak w swoim rodzinnym mieście. Przed wejściem na Place du Théâtre, może ze dwadzieścia kroków od oświetlonej przestrzeni, zatrzymał ich jakiś grubawy jegomość w białej koszuli z podwiniętymi za łokcie rękawami. Jak się później okazało, właściciel kafejki, którą akurat mijali.

– Przepraszam, panowie, wstąpcie do mnie na chwileczkę!

Jan obejrzał się niespokojnie. Tyle słyszał i czytał o różnych wydarzeniach w Paryżu. O tajemniczych porwaniach w mrocznych uliczkach, o bandach, mafiach i gangach... Jakby za mało było przygód na tę jedną noc. Zerknął na Piotra. Hm, czort wie, co to może znaczyć?

– Panowie tylko przejazdem w Paryżu? – spytał nieznajomy i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: – Poznałem od razu, że jesteście turystami. Mamy ich tu pod dostatkiem. W każde lato ciągną do nas jak wędrowne ptaki.

– Tak właśnie... przejazdem – wykrztusił Piotr, żeby tylko coś odpowiedzieć.

– Widziałem was przed katedrą – uśmiechnął się mężczyzna.

– Nie wiedzieliśmy, że tam nie wolno śpiewać – Piotr tłumaczył się jak przed policjantem. – Skąd mogliśmy o tym wiedzieć? Nie byliśmy jeszcze w Paryżu.

– W porządku, w porządku... Nie byliście jeszcze w Paryżu? Patrzcie no! Dziwne, że może być ktoś, kto nie był jeszcze w Paryżu. No, ale zdarza się, zdarza.

– A tam zaraz policja...

– Ba! Takie jest prawo. Co by to było, gdyby każdy zaczął wyśpie-

Dokończenie na str. 7